

Nie bujam w obłokach

Rozmowa z Krystyną Jandą, aktorką i reżyserem

- Zesła pani ze sceny Teatru Powszechnego w Warszawie po zakończeniu występu w monodramie „Shirley Valentine”. Co oznacza dla pani teatr?

- Teatr to publiczność. Gdy gram

w teatrze, mogę się z nią spotkać bezpośrednio. Z tego, jak reaguje staram się rozszyfrować jej nastrój. Teatr jest moim obowiązkiem, warsztatem, treningiem. Dzięki niemu utrzymuję formę.

- W jednym z wywiadów powiedziała pani: mam dwa marzenia - zagrać w sztuce antycznej i adaptacji Szekspira. Oba się spełniły dzięki „Medei” Eurypidesa i „Makbetowi”. Czas na kolejne marzenia?

- Już dawno nie mam marzeń. Jeżeli mam jakiś pomysł, to próbuję go zrealizować. Traktuję aktorstwo jako zawód i myślę bardzo realistycznie. Nie jestem osobą, która buja w obłokach. Na tyle długo jestem w tym wszystkim, że nie mam marzeń nieosiągalnych, nie lubię się rozczarowywać.

- Czy ma pani na myśli jakieś ostatnie rozczarowania?

- Nie. Wszystko było przewidywalne. No, może prócz tego, że przeczytałam gdzieś niedawno, że modnie jest o mnie mówić źle. Rzeczywiście, ostatnio właściwie za wszystko co robię dostają po głowie. Zdążyłam się do tego przyzwyczaić. Co więcej, rozumiem to. Wiem, dlaczego są takie zarzuty. Tylko nie podoba mi się ton.

- Czy był czas, kiedy głaskano panią po głowie?

- Tak, ale wszystkie najważniejsze nagrody dostałam poza Polską.

- A nagrody „Złotej kaczki” tygodnika „Film” za całokształt działalności?

- Myślę, że nie było wyjścia. Tytuły i znaczenie filmów, w jakich zagrałam, nie pozwoliły mi zignorować. Moje szczęście polegało na tym, że w moje ręce wpadły te najważniejsze role. To nie nagroda dla mnie, ale dla szczęścia w życiu. Takie opinie słysza-

łam zresztą od krytyków. Nie było to miłe.

- Pieniądze zarobione w filmie pozwalają później na luksus zagrania w teatrze?

- Pieniądze pochodzą przede wszystkim z wyjazdów z teatrem w Polskę. Przez ostatnich kilka lat nie zdarzyło się, żebym nie miała pełnej sali. Bywało, że grałam i w południe, i o drugiej w nocy.

- Pani aktywność w teatrze to także reżyseria.

- Bardzo to lubię. Pokochałam to przy „Heddzie Gabler” Ibsena, którą wyreżyserowałam dla telewizji. Potem był telewizyjny „Cyd” Corneille’a, „Na szkle malowane” Ernesta Brylla w Teatrze Powszechnym. Tę ostatnią sztukę zagraliśmy 140 razy i musieliśmy ją zdjąć z afiszy. Zespół góralski, który z nami występował, podzielił się na dwa i konflikty uniemożliwiły dalsze granie.

- Co w reżyserii jest takiego pociągającego? Poczucie władzy nad aktorami?

- Nie ma czegoś takiego. Na planie pracuję z przyjaciółmi. Rozumiem ich problemy, z wahania głosu wiem, jaki problem ma aktorka w danym momencie, bo sama stałam na jej miejscu przez wiele lat. Mam jeden sposób na pracę ze wszystkimi: bardzo dużo z nimi rozmawiam. Wszyscy przystępując do pracy ze mną wiedzą precyzyjnie, do czego zmierzamy. Zaczynam próby „Tulli-Putli” Witkacego od trzydniowego spotkania z całą ekipą.

- Skoro tak bardzo polubiła pani reżyserię, na co możemy liczyć w najbliższym czasie?

- Ostatnio zrobiłam dla Teatru Telewizji „Tristana i Izoldę”, największą pod względem inscenizacyjnym i produkcyjnym sztukę, jaką dotąd reżyserowałam. Kilka dni temu otrzymałam wstępny projekt scenariusza, napisany przez panią Annę Bojarską do jej książki „Ja”. Książka opowiada o kobiecie, która jest podzielona na dwanaście postaci. Te postaci, to samistne byty. Jest wśród nich i dziecko, i starzec, prostytutka, terrorystka, zgwałcona dziewczynka, szaleniec. Jak pokazać na ekranie dwanaście osób, każdą inną, które składają się na jedność?

- Czy nie boi się pani, że będzie to film dla pani, a nie dla publiczności?

- Można o mnie powiedzieć różne rzeczy, ale nie to, że nie myślę o publiczności, bo to jest dla mnie sprawa podstawowa. Dwadzieścia lat gimnastyki, rozwiązywania szarad: jak coś opowiedzieć, jak co zostanie zrozumiane, uczenie się języka, który precyzyjnie trafi do widza sprawia, że chcę się tego podjąć.

- Czy jest pani zadowolona z efektów swojej pracy reżyserkiej?

- I tak, i nie. Jak ktoś powiedział, reżyseria to sztuka rezygnacji z tego, co ma się w głowie. Ale w gruncie rzeczy myślę, że umiem się porozumiewać z widownią. I warto o nią walczyć. Nikogo nie lekceważę.

Rozmawiał: TOMASZ KRAWCZAK

